

Partja kart.

Hugon de Lentragues rzucił w salon wzrok twardy i surowy; głęboka bruzda zorała mu czoło: pochylony ku Genowefie de Lentragues, Gaston Serviéres mówił cichym głosem z wargami tuż przy uchu młodej kobiety.

Służący podał tacę Hugonowi, który ruchem szorstkim poniosł do ust kieliszek likieru. Rosnący szal ścisnął mu skronie żelazną obręczą. Zły błysk zapłonął w jego oczach, skierowanych na zajętą sobą parę, i, nagle, torując sobie drogę między tańczącymi przeszedł przez salon i skłonił się przed swą żoną.

— Wybacz mi, moja najdroższa, że ci zabiorę Serviéres'a, ale mam mu parę słów do powiedzenia. Idziesz ze mną, przyjacielu?

Hugon de Lentragues szybkim krokiem podążył do swego gabinetu, gdzie stanawszy nawprost Gastona de Serviéres, zadał mu bezdźwięcznym głosem pytanie:

— Domyślasz się zapewne, co ci pragnę powiedzieć?

— Nie mam pojęcia, słowo honoru, mój drogi.

— Doprawdy? Przykro mi jednak jasnie; się tłumaczyć. Przypuśćmy zresztą, jeśli chcesz, że jakiś usłużny anonim oświecił mnie tak dalece, iż wiem wszystko, co byś usiłnie pragnął ukryć przede mną. Czy ci to wystarczy...? Ani słowa, bardzo cię proszę! Oto, co ci proponuję. Jeden z nas jest zbyt uczynny. Karty zadecydują. Jeżeli ty przegrasz, znikniesz z naszego horyzontu: nie obawiasz się długiej podróży, nieprawdaż?... Przeciwnie zaś; jeżeli los na mnie się sprzyślię, w takim razie, ha, trudno, ja pójdę na wygnanie i koniec. Zgadzasz się?

Gaston Serviéres dostrzegł okrutny błysk, lśniący w oczach swego rozmówcy i, po krótkiej chwili wahania, odparł cichym, ale stanowczym głosem:

— Zgadzam się.

— Doskonale!

Z uśmiechem na twarzy Hugon usunął się i wskazawszy Gastonowi drogę do pokoju dla palących, poszedł wślada za nim. W chwilę potem siedzieli obaj naprzeciwko siebie przy kartach i Hugon, podnosząc głos, oznajmił gościom:

— Partja poważna, panowie. Nie wymienię wam stawki, ale jest wysoka, bardzo wysoka! Grono ciekawych otoczyło wnet stolik i partja „ekarte“ rozpoczęła się. Przy pierwszym, drugim i trzecim rozdaniu kart Gaston zyskał cztery punkty; drżenie jego rąk ustało. W dwóch rzutach następnych jednak Hugon zrównał się z nim. Karty padły po raz ostatni na sukno i Serviéres zostawiwszy swą grę rozłożoną na

stole, rzucił bolesne spojrzenie na zimną twarz swego partnera, który odezwał się spokojnym głosem:

— Król! Przegrałeś, mój kochany!

W dziesięć lat po tym wypadku Gaston Serviéres wysiadał z pociągu na dworcu łódzkim. Zegar wskazywał godzinę drugą po północy. Znalazł się w mieście Gaston zdumiał na widok ożywionych ulic: wszystkie kawiarnie były oświetlone i przepełnione publicznością. Gorzki uśmiech okraszył przez okamgnienie mroczną jego twarz. Prawda! Zapomniał: wszak rok nowy liczył dwie godziny życia zaledwie! Szedł na chybił trafił, bez celu, potracając co krok o rozweselone gromadki ludzi. Wtem wzrok jego utkwiał w oświetlonym jaskrawo szyldzie: „Kabaret żyjącego nieboszczyka“.

Pchnawszy drzwi, wszedł. Prąd gorącego powietrza buchnął mu prosto w twarz, podczas gdy chaos krzyku, śmiechu i muzyki ogłuszył go niemal zupełnie.

Stary kelner pośpieszył ku niemu.

— Stolik dla pana? Służę. Zaciszny kątek? Doskonale. Pan raczy pofatygować się za mną jedno piętro wyżej: Tutaj, proszę. Tu panu będzie bardzo dobrze. Nikogo prawie niema, oprócz kilku osób, które jedzą kolację, tam za parawanem.

Zdenerwowany tem gadulstwem Gaston Serviéres zamówił posiłek i skinieniem ręki oddalił kelnera. Pozostawszy sam, zatonał w głębokiej zadumie. Nagle podskoczył: dźwięk jakiegoś głosu uderzył go brutalnie. Wyprostował się i stając na palcach, rzucił okiem za parawan, który go osłaniał przed okiem biesiadników.

Śmiertelna błądź pokryła mu oblicze. Wśród uczujących spostrzegł Hugona de Lentragues.

Gaston Serviéres opadł na swe krzesło. Starszy kelner wszedł, podał danie i znikł odprawiony szorstkim gestem.

Gaston, zdrewniał, słuchał głosu, który rozległ się znowu:

— Za twoje zdrowie Mado! Pijcie, przyjaciele, za zdrowie najładniejszej kobiety w Paryżu. Niech mnie diabli porwa, jeśli nie ożenię się z nią. Przysięgam i dotrzymam! Spoliczkowałem w klubie głupca, który odpowiedział na moje oświadczenie niestosownym zdziwieniem. Cięcie mieczem nauczy tego chłystka kultu dla urody. Uroda, piękność kobieca, moi przyjaciele, to cały świat: dla mnie... co mnie reszta obchodzi...?

Dławiony głuchym bólem Serviéres nasłuchiwał ze zdwojoną uwagą. Pijany głos mówił dalej coraz głośnie:

— Jestem wolny... wolny... Jeszcze trochę szampana najdroższa... Będę bardzo szczęśliwy z tobą; pewien tego jestem! Nie straszny mi drugi rozwód. Słuchajcie przy-

jaciele! Dzisiejszy wieczór przypomina mi inny, z przed dziesięciu laty. Zdarzyła mi się wówczas śmieszna przygoda. Byłem młodszy przyznać, pijany nieco i usposobiony do splatania brzydkiego figla komuś. Wtem wzrok mój padł na niejakiego Gastona Serviéres, który rozmawiał z moją żoną. Młodzieniec ten był mi wysoce niesympatyczny i uśmiechnięty wyraz jego twarzy denerwował mnie. Wiedziony nie wiem jakim impulsem podszedłem wprost do niego. Zważcie, że działałem na chybił trafił, przypuszczając niewinny flirt co najwyżej i że miałem zamiar splatać tylko dobrego figla. Prowadząc Serviéres'a do mego gabinetu i patrząc mu w oczy, mówię: „Wiem wszystko. Jeden z nas jest zbyt uczynny. zagrajmy w karty. Kto przegra zniknie...“ Siadamy do stolika i mój Serviéres przegrywa. Widząc jego zrozpaczoną minę, wstrzymuję z trudem wybuch śmiechu, gdy wtem on zrywa się i ucieka jak warjat. Zbity z tropu usiłuję wśród ogólnego milczenia zorientować się w sytuacji i wzrok mój pada przypadkiem na moją żonę, która wszedłszy pocichu była świadkiem ostatniego aktu sceny. Widząc jej błądź, drżenie rąk, bolesny skurcz twarzy domyślam się prawdy. Chcąc sobie żartować uderzyłem w śedno: Gaston Serviéres był kochankiem mojej żony...!

— Komiczna historia! — zaśmiał się ktoś. A potem?

— Potem? O, mój Boże, mi! W trzy miesiące później, moja żona, która, jak się zdaje, miała mnie dosyć i marzyła o rozpoczęciu nowego życia z tym głupcem Serviéresem, uciekła z innym. Jest zresztą bardzo nieszczęśliwą podobno. Pomyślcie, do licha, że ona kochała Serviéres'a!

Jedno tylko mnie bawi setnie, gdy o tem pomyśle: jaką minę zrobi wygnaniec, jeżeli dowie się kiedykolwiek prawdy...

Rozległ się huragan śmiechu, przerwany nagle suchym trzaskiem i milczenie śmierci zaległo w sali.

Z głową na stole Gaston Serviéres robił wrażenie śpiącego człowieka. Jego prawa ręka, zacisnięta na rękojeści rewolweru, zwisała ku ziemi, lewa zaś, kurczowo zgęta, spoczywała na szczątkach zmiecionego pułharu z szampanem. Zmieszana ze złocistym płynem krew, płynąc ze skańczonych palców, padała kropla za kroplą, powiększając szeroka, ciemną krwawą plamę na dywanie.

Tłum. Jotsaw.



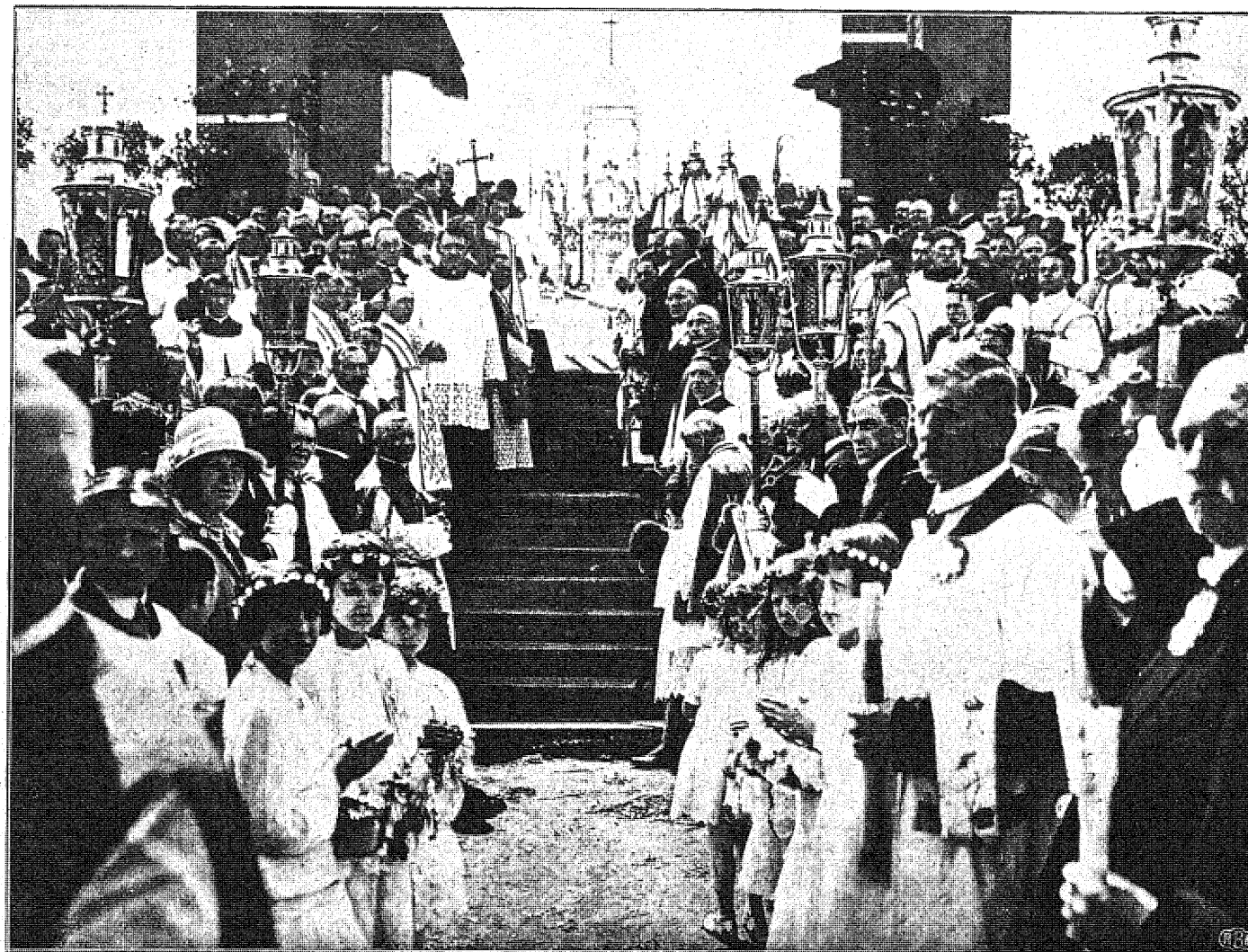
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Niedziela, 8 lipca 1928 roku.

Nr 28.

Łódź w blaskach idei Chrystusowej.



W dniach 29, 30 ub. m. oraz w dniu 1 lipca odbywał się w Łodzi po raz pierwszy Kongres Eucharystyczny. Z tej okazji Łódź katolicka gościła w swych murach Najdostojniejszych Książąt Kościoła w osobach J. Em. ks. Kardynała Prymasa Hłonda, J. Em. ks. Nuncjusza Marmaggię, wielu biskupów oraz niezliczone rzesze duchowieństwa i wiernych. W Kongresie wzięło udział przeszło 200 tysięcy osób, przybyłych do Łodzi z okolicznych województw i powiatów. Dla Kongresu był niezwykle imponująca, nastrojowa, pełna powagi i wiary manifestacją religijną ku czci Majestatu Boskiego, ukrytego w Najświętszym Sakramencie. Powyżej duchowieństwo i wierni przed ołtarzem u stóp Katedry w oczekiwaniu J. Em. Kardynała Prymasa Hłonda.

Fot. A. Meyer.

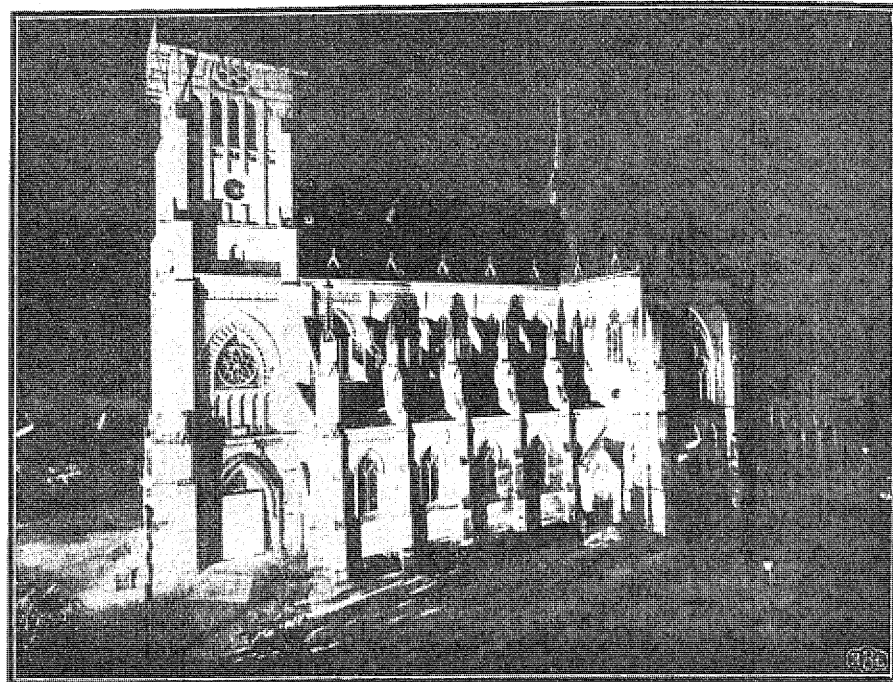
TEATRALIA.

Premjery warszawskie. — Kongres „międzynarodówki” teatralnej. — „Teatr Samorodny”. — Awantury Lwowskie. — Pisator zbankrutował.

Sezon letni obfituje, jak wiadomo, w zabawy i festyny ogrodowe, w których programie niemal zawsze znajdują się: ognie sztuczne. Tym pirotechnicznym skłonnościom, bardzo powszechnym w okresie karniularnym, nie oparł się nawet Teatr Narodowy i popisał się na scenie swojej „Ogniami sztucznymi”, wyrobu dość znanego autora włoskiego, L. Chiarelli'ego. Dość sprytną i zręczną jego sztukę p. t. „Twarz i Maska”, grano kilka lat temu w Łodzi, z nienajgorszym nawet powodzeniem. Niestety — nic dobrego nie da się powiedzieć o „Ogniach sztucznych”, wskazujących jedynie na wyczerpanie inwencji twórczej i zbanalizowanie pomysłowości autora. Nad tą komedią Chiarelli'ego ciąży przekleństwo pretensjonalności i sztuczności poczucia, stygmat, którego żaden chrzest teatralny zmyć nie zdoła.

Opowieść o przygodach zbankrutowanego arystokraty, którego cudem niemal ratuje od samobójstwa jakaś zapomniana wielbicielka i który cudem niemal (w komedii tej dzieją się same cuda i niezwykle koincydencje) żeni się wkońcu z młodziutką, dobrze wyposażoną księżniczką, — opowieść ta pachnie o miłą literaturą „zeszytową” i do prawdy — nie zasługiwałaby, by się nią zajmować. Jeżeli zaś to czynimy, to jedynie dlatego, aby mieć okazję do złożenia hołdu Kazimierzowi Kamińskiemu, który z rezonerskiej, grubym ściegiem szytej roli w „Ogniach sztucznych” stworzył (bynajmniej nie kongenjalnie, lecz — genialnie!) arcydzieło sztuki aktorskiej, w rodzaju rzadko w dzisiejszym teatrze oglądanych. Można śmiało zapomnieć o Chiarelli'm i jego wątpliwej sztuce, gdy się patrzy na prawdziwą sztukę Kamińskiego; jeżeli więc można coś znaleźć na usprawiedliwienie wyboru dyrektora Teatru Narodowego, wystawiającej ramotę Chiarelli'ego, to jedyną okolicznością łagodzącą może być to, iż w blasku tych „Ogni sztucznych” zajaśniał znowu talent twórczy wielkiego polskiego aktora. A za nim pp. Cwiklińska, Różycki, Gawlikowski starali się — nie bezowocnie — ratować honor przedstawienia.

Lepiej — jeśli o sztukę samą chodzi — trafił Teatr Letni, wystawiając sympatyczną i dobrze skrojoną komedię Todora, p. t. „Sekretarka pana prezesa”. Jest to dość wesoła, choć chwilami zbyt nienaturalnym zaprawna, historia o małej wiedence — Zuzi Sachs, która, zdobywszy sobie posadę w wielkim banku swym wdziękiem „niewiniątka” i swą... bezbronnością, nie tylko staje się wkrótce nieodzownym kółkiem w mechanizmie bankowym, lecz nawet — panią serca srogiego i niedostępnego pana prezesa. Wszystko to jest bardzo miłe i dobrze się kończy, to też wrażenie pozostawia jak najlepsze. Tem więcej, że talentami swymi wsparły wiedeńską komedię p. Todora takie dwa filary, jak p. Zelwewicz (prezes) i p. Ola Leszczyńska, o



Katedra św. Stanisława Kostki uiluminowana na okres Kongresu Eucharystycznego. Wokół noc rozświeciła swe mroki, przebijane gdzie niktymi promieniami światła latarń.

której coraz głośniejsze i coraz cieplej w prasie stołecznej.

Założone przez dyrektora paryskiego „Odeonu”, p. Gémier'a, „Powszechne Stowarzyszenie Teatru”, inaczej zwane „międzynarodówką” teatralna, odbywa obecnie w Paryżu drugi kongres na którym Polska reprezentowana jest przez pp. Boya-Zeleńskiego i Antoniego Potockiego. Obrady kongresu odbywają się w pałacu „Fundacji Rotszyldów” przy ul. Berryer; prace podzielono pomiędzy dwie sekcje, mianowicie — dramatyczną i kompozytorską. W sekcji dramatycznej, do której weszli delegaci polscy, poruszono dwie nader doniosłe sprawy, mianowicie — przeródek i tłumaczeń sztuk teatralnych i organizacji wzajemnej ich wymiany oraz sprawę ochrony autorstwa inscenizacji. Obradom kongresu przypisywane jest powszechnie bardzo poważne znaczenie, a dowodem szeregowej kurtuazji rządu francuskiego względem zjazdu jest oficjalny udział ministra Herriota w bankiecie powitalnym.

W związku z kongresem, gości w Paryżu kilka cudzoziemskich zespołów teatralnych, dających przedstawienia w gmachach miejscowych teatrów. Między innymi grają zespoły: rosyjski (Wachtangowa), niemiecki, angielski, holenderski i dwa żydowskie. Reprezentacyjnego zespołu polskiego niestety, w ich liczbie niema.

W Krakowie występuje obecnie p. n. „Teatru Samorodnego” zespół dziewcząt wiejskich, z uniwersytetu ludowego w Szycach, które w dawanych widowiskach wskrzeszają jakgdyby tradycję teatru dell'arte, transportowanego, oczywiście, na styl ludowy polski. Program tego oryginalnego teatru wiejskiego składa się przeważnie z improwizacji na motywy ludowe oraz

z piosenek inscenizowanych. Dziewczęta grają bez suflera, bez dekoracji i rekwizytów, rękopisów i wskazówek reżyserskich. Jedynym momentem dekoracyjnym tych produkcji są piękne, barwne stroje ludowe ze wszystkich dzielnic Polski; prawdziwą zaś i najistotniejszą wartością widowisk „Teatru Samorodnego” jest świeżość i bezpośredniość jego improwizowanych aktorek. Nic dziwnego, że ich występy są w Krakowie przyjmowane tak życzliwie.

Decyzją lwowskich władz samorządowych, dotycząca wydzierżawienia teatrów miejskich na sezon przyszły spółce Barwiński-Zareba, wywołała istną burzę w prasie miejscowej, a nawet rozległa się rozgłoszeniem echem w artystycznych sferach stołecznych. Sprawa jest tem goręcej dyskutowana, iż kontrakt ma być zawarty na trzy lata, zaś miasto wzięło na się obowiązek wypłacania poważnej subwencji w wysokości 650.000 zł. rocznie. Dyr. Barwiński, jak twierdzą lwowianie, źle się zapisał w ich pamięci poprzednią swą gospodarką w tamtejszych teatrach, co zaś do p. Zareby, to dotychczasowa jego działalność pedagogiczna nie uprawnia również do wiązania z jego osobą nadziei na pomyślniejsze dla teatrów lwowskich czasy. „Słowo Polskie” omawiając perspektywę rządów nowej spółki, nie waha się twierdzić, że „dramatowi lwowskiemu grozi wręcz katastrofa” i że p. Barwiński do swego stanowiska „nie ma żadnych kwalifikacji”. Notując te wstępne dysonanse, należy przyznać, że nie rokują one naprawy lwowskich stosunków teatralnych, pozostawiających od dłuższego już czasu bardzo wiele do życzenia.

Delta.



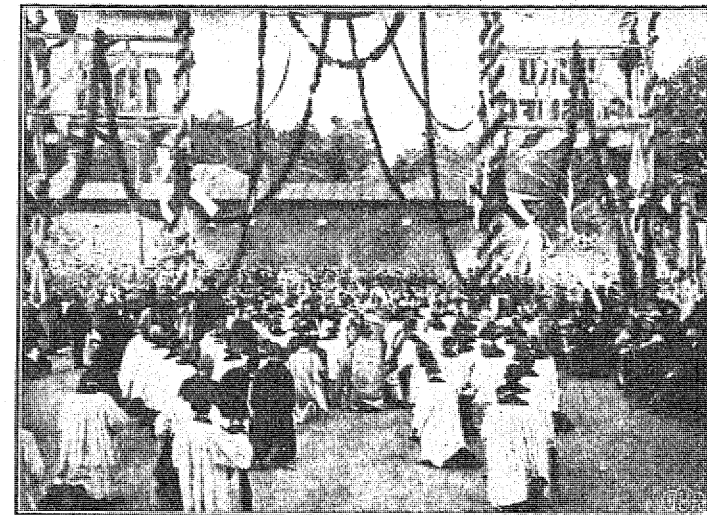
Fragment procesji eucharystycznej z J. Em. ks. Nuncjuszem Marmaggi i duchowieństwem na czele. W głębi brama triumfalna. Obok las sztandarów i niezliczone rzesze wiernych.



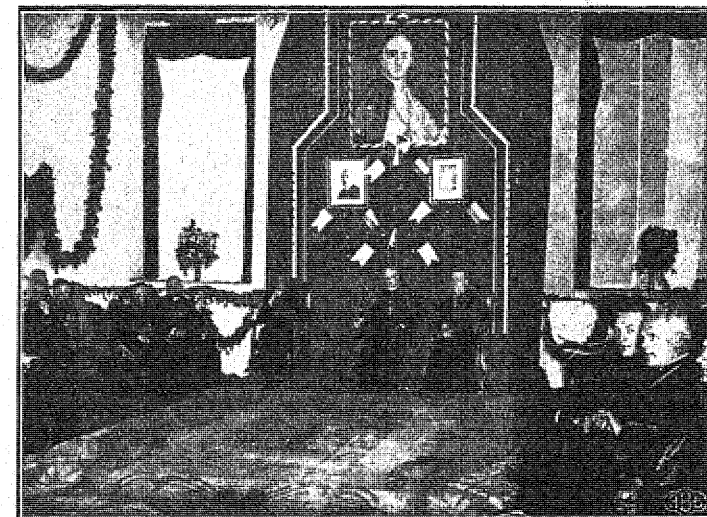
J. Em. ks. Nuncjusz Marmaggi na kazalnicy wygłasza do wiernych podniosłe przemówienie. Obok siedzą J. E. ks. biskup Kubina oraz członek komitetu wykonawczego Kongresu Eucharystycznego pułk. Walicki.



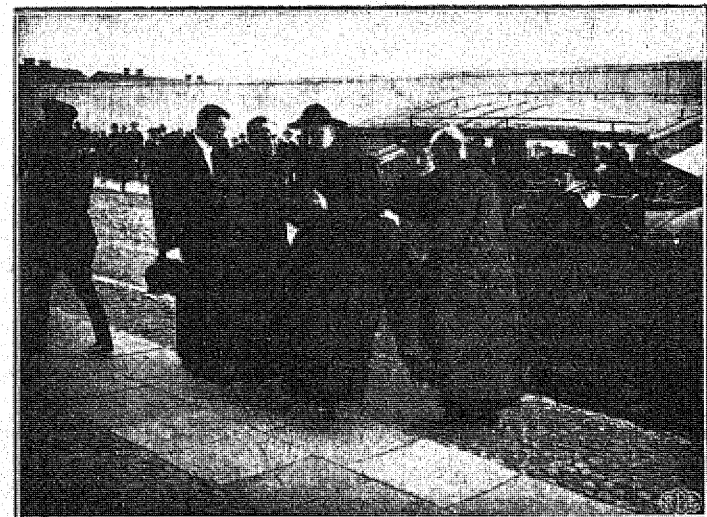
J. Em. ks. kardynał prymas Hlond i J. Em. ks. Nuncjusz Marmaggi w otoczeniu duchowieństwa.



Hołd przed Majestatem Boskim ukrytym w Najświętszym Sakramencie u podnóża bramy triumfalnej. W głębi J. E. ks. Nuncjusz Marmaggi z wzniesioną ponad oceanem głów ludzkich monstrancją.



Podręczna akademja eucharystyczna. Na podjum siedzą J. Em. ks. kardynał prymas Hlond, J. Em. ks. Nuncjusz Marmaggi oraz J. E. ks. biskup Kubina. W głębi dekoracja, na tle której widzimy portret Ojca św. papieża Piusa XI-go, podobiznę Prezydenta Rzplitej i J. E. ks. prymasa Hlonda.



J. Em. ks. kardynał prymas Hlond, opuszczający auto.



Artystka warszawska, p. Zula Pogorzelska, w przepisowym mundurku dla „wyższych“ urzędniczek ministerjalnych.



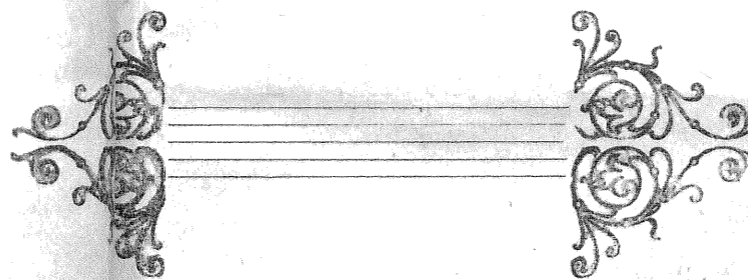
Lulu Arnstedt, córka posła duńskiego w Polsce.



Preludjum Chopina.



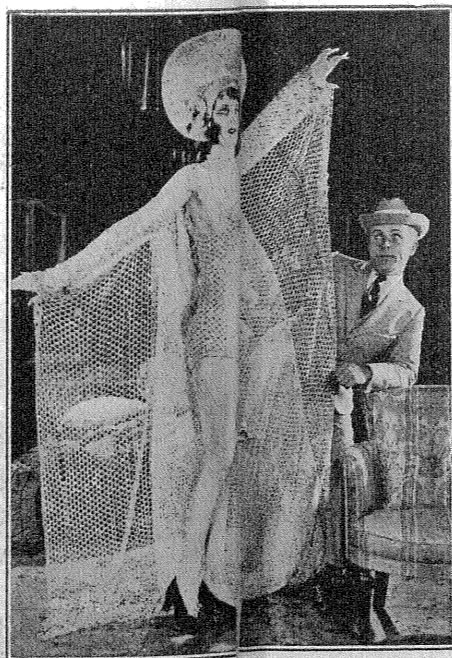
Najurodziwszy artysta Ameryki, Georg O'Brien.



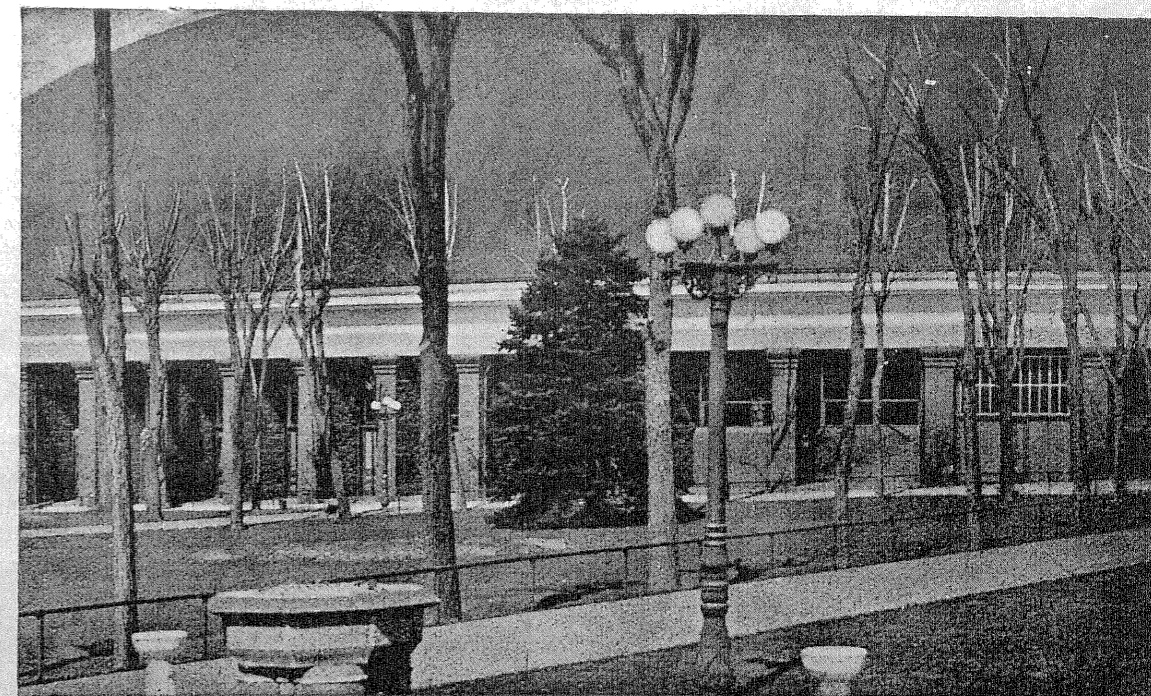
Przepiękny stylowy pałac królewski w Lizbonie. Powyżej wjazd bramą triumfalną do pałacu.



Caryll Lincoln, znana tancerka południowo-amerykańska, uprawia swój codzienny trening w boksie.



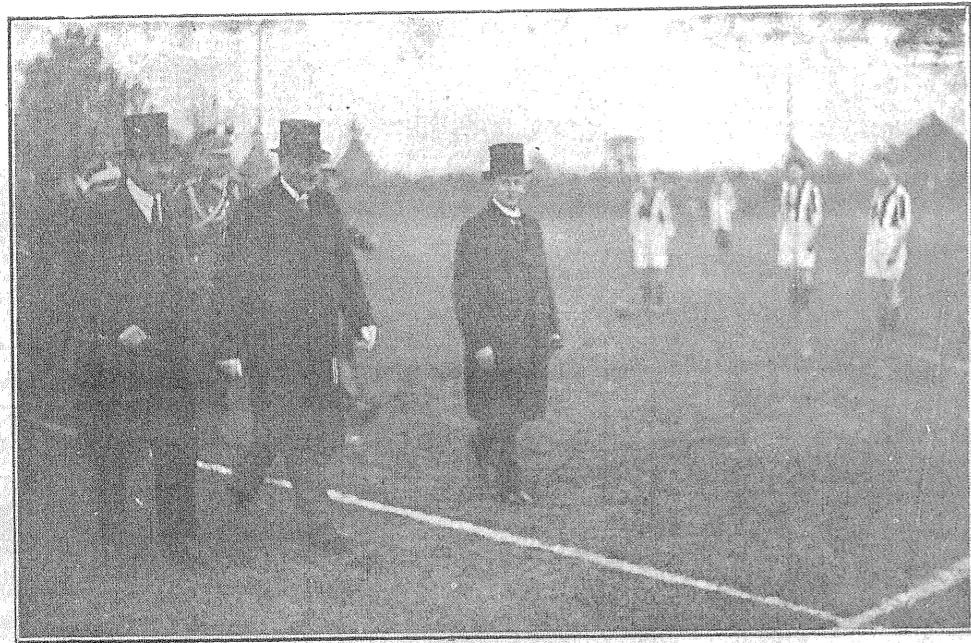
Jane Marmors, uroczą tancerka amerykańska, popisująca się ze swym partnerem w nowym tańcu „Oha“.



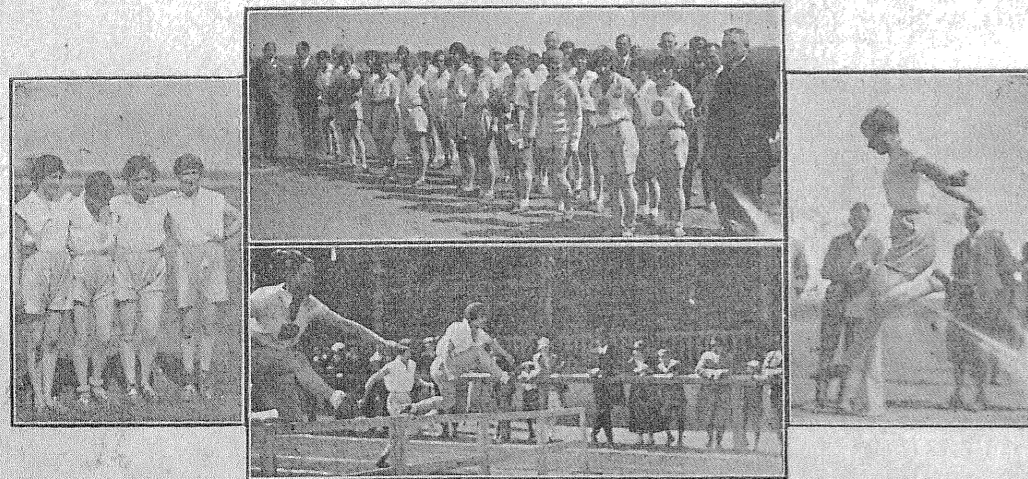
Widok zewnętrzny świątyni mormonów w Salt Lake City.



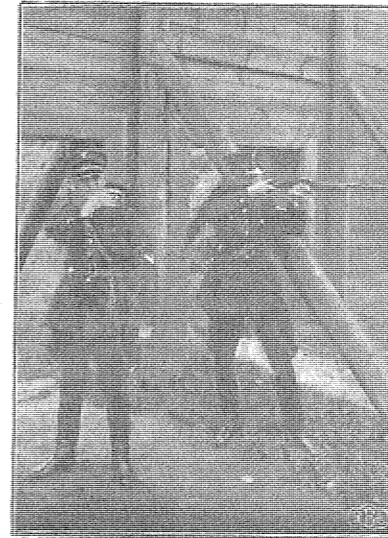
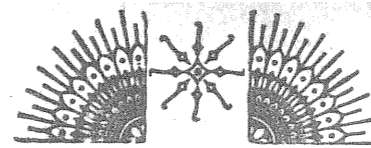
Uczestnicy lekkoatletycznego obozu przedolimpijskiego w Krakowie



Prezydent Rzplitej na otwarciu stadionu w Królewskiej Hucie.



Mecz Śląsk — Poznań. Na lewo rekordowa sztafeta, u góry obydwie zespoły przedmeczem, u dołu moment meczu przez płotki, na prawo Szymbalski w skoku w dal.



Fragment z wojewódzkich zawodów policyjnych w Łodzi. Powyżej popisy strzeleckie z karabinu i rewolweru.



Thelma Todd, uznana za najpiękniejszą kobietę Ameryki, pochodzi ze słynnego teatru rewji „Zigfielda“ w Nowym Jorku.



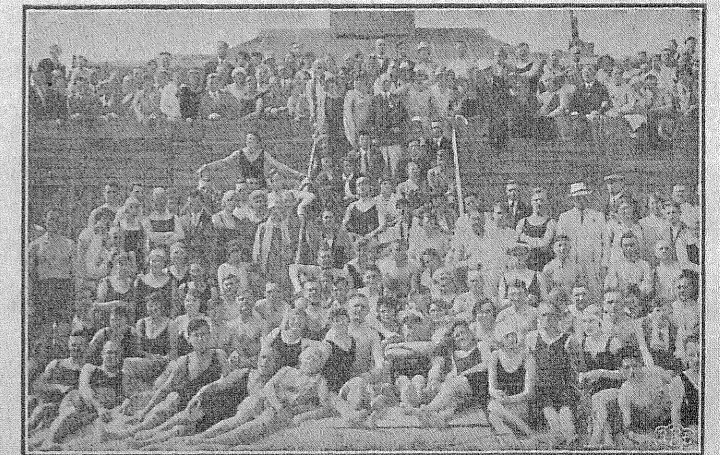
Ceniony grafik polski, p. J. Bobiński.



Uczestnicy Kongresu Eucharystycznego na Placu Hallera w Łodzi. W głębi kazałnica na tle niezliczonych rzesz wiernych ze sztandarami.



W dniu 29 ub. m. odbył się w Kaliszu drugi zjazd b. wychowanków szkół kaliskich. Powyżej uczestnicy zjazdu. Na trybunie b. minister W. Wyganowski przemawia przed odsłonięciem popiersia Adama Asnyka.



Łódźanie na wycieczce w Gdyni. Uczestnicy wycieczki na plaży u wybrzeża morza polskiego.

Róża.

Kroniki gazet wykazują codziennie, że ludzka słabość przechodzi wszelkie granice prawdopodobieństwa; zdarzają się wszelako fakty, które wymykają się czujności reporterów i których żadna gazeta nigdy nie zdoła zarejestrować: nieznanie i straszne dzieje przeżyć wewnętrznych, tragedje, co łamią serca ich bohaterów.

Do tej kategorii należy dramat mego przyjaciela Ferdynanda Bo. Inżynier okrętowy w Genui cieszy się wielkiem poważaniem nie tylko dzięki swym kwalifikacjom zawodowym, ale także dzięki swemu charakterowi, swej energii i męskiej sile woli. I właśnie ten zdobywca, ten zwycięzca dał się porwać do zwierzeń, które odsłoniły mi w nim człowieka, godnego największej liłości. Oto, co mi opowiedział:

Małgorzata weszła do wagonu na stacji Pistoja. Nie potrafię opisać ci wzruszenia, jakie mną ogarnęło, gdy ujrzałem ją tak niespodzianie po upływie trzech lat, gdy opuściła mój dom, ani też myśli, które skotłowały się w mojej głowie.

Moja żona nie zmieniła się wcale; być może, że stała się, o ile to jest możliwe, jeszcze piękniejsza i bardziej fascynująca. Z właściwą sobie swobodą zajęła miejsce obok mnie, osnuwając mnie obłokiem delikatnych, ledwo dających się odczuć perfum, które mnie przyprawiły o zawrót głowy. Złożyła na siatce swą małą walizkę, zdjęła kapelusz, usiadła, zapaliła papierosa i poczęła go szybko wypalać. Dopiero wtedy poznała mnie.

O, nie sądź, że się zmieszala! Uśmiechnęła się, strząsnęła popiół swymi długimi palcami i jakgdyby nic, ale to zupełnie nic, nie miała sobie do wyrzucenia, przywitała mnie skinieniem głowy. Kochałem ją do szaleństwa, porzuciła mnie dla innego; ale ja nie potrafiłem nigdy wyrwać z serca wspomnienia o niej. Więc jej odpowiedziałem niewyraźnym słowem, ale w moim głosie była niepewność, jakieś bolesne załamanie, które nie uszły uwadze Małgorzaty. A umiała z tego skorzystać! Odpięła różę od swego gorsu i ofiarowała mi ją.

— Wsiadę wkrótce. Przyjmij ją. Te różę nazywają się pompejańskie.

— Wsiadziesz?...

Taką była moja odpowiedź.

Umysł mój był osnuty mgłą, która rozpraszała się chwilami, pozwalając mi zobaczyć piękną twarz Małgorzaty.

Papieros już był wypalony. Moja żona przesunęła przede mną swe nagie ramię i wyrzuciła niedopalek za okno.

— Czy dużo teraz podróżujesz? — Spytała mnie z zainteresowaniem. — Co za życie prowadzisz! Ja nie cierpię kolei. Nudzę się w pociągu i nigdy nie mogę zasnąć.

Zawsze ta sama! Małgorzata lekceważyła sobie stale wszystko to, w czym ja znajdowałem upodobanie i co należało do

konieczności mojego życia: budowle okrętowe i białe wino, podróże i muzykę, Genue i porty morskie, kwiaty... te same kwiaty, które przed chwilą mi ofiarowała.

Róża leżała pomiędzy nami na kanapce i jej ostry zapach napelniał cały wagon. Byłem sam z Małgorzatą. Mógłbym ją był zabić, a tymczasem czułem ochotę przycisnąć ją do siebie, odzyskać ją znowu, zabrać sobie, przerywając moją podróż, lub kontynuując ją, byle tylko nie pozwolić jej wymknąć mi się po raz drugi. A natomiast... to samo, nieokreślone uczucie co wtedy, gdy Małgorzata uciekla i przez całe trzy lata później powstrzymywało mnie od wszelkiego mocnego czynu, i które skłoniło mnie do daremnego poniżenia, do błagania mej żony, aby powróciła do mnie, to samo uczucie, którem pogardzam, ale od którego nie potrafię się nigdy otrząsnąć i w tym momencie przykuło mnie do mego losu. Wyratowało mnie, prawda, od innego poniżenia, ale powstrzymywało od gestu, który, chociaż częściowo wykreśliłby moje poprzednie tchórzostwo.

Gdy dojeżdżaliśmy do Rifredi, Małgorzata ukarminowała sobie wargi, upudrowała się, włożyła kapelusz, a ja sam złożyłem jej walizkę w pobliżu okna, gotów podać ją gdy wysiadzie. Gdy pociąg wtoczył się na stację, zabrała swe rękawiczki i różę, którą mi ofiarowała.

Czy to było roztargnienie? Czy zrobiła to z rozmysłem?

W każdym razie ja nie umiałem znaleźć ani jednego słowa; a Małgorzata wyciągała już ramiona po swoją walizkę. Pochwyliła ją jedną ręką, drugą zaś, w której trzymała różę, wymachiwała w uprzejmem pozdrowieniu.

— Szczęśliwej podróży! — wołała, odchodząc.

Oczekiwano ją. Jakiś mężczyzna pośpieszył jej naprzeciw, zarzucił sobie ręce na szyję, Małgorzata podała mu swoje usta, wsadziła mu różę do kłapy marynarki; pociąg ruszył...

Nie odrywałem od nich wzroku, aż pociąg skręcił w bok, potem padłem na siedzenie oszalały z bólu, szarpany zazdrością, wściekły.

Ale stchórzyłem jeszcze i tym razem! Pogardzam sobą! Rozumiem doskonale, iż postąpiłem nikczemnie; wszelako gdy odwróciwszy się, dostrzegłem platek róży, co pozostał na kanapce wagonu... pochwyliłem go, złożyłem na me wargi i do samej Florencji napawałem się jego wonią; zdawało mi się, iż na mych ustach spoczywają usta Małgorzaty...

Zachowałem ten platek. Oto on. Spójrz na niego.

Nieszczęsny wyciągnął z kieszeni marynarki małą książeczkę, otworzył ją i naszym oczom ukazał się platek róży, teraz już zeschły, co zostawił krwawą plamę na białej kartce.



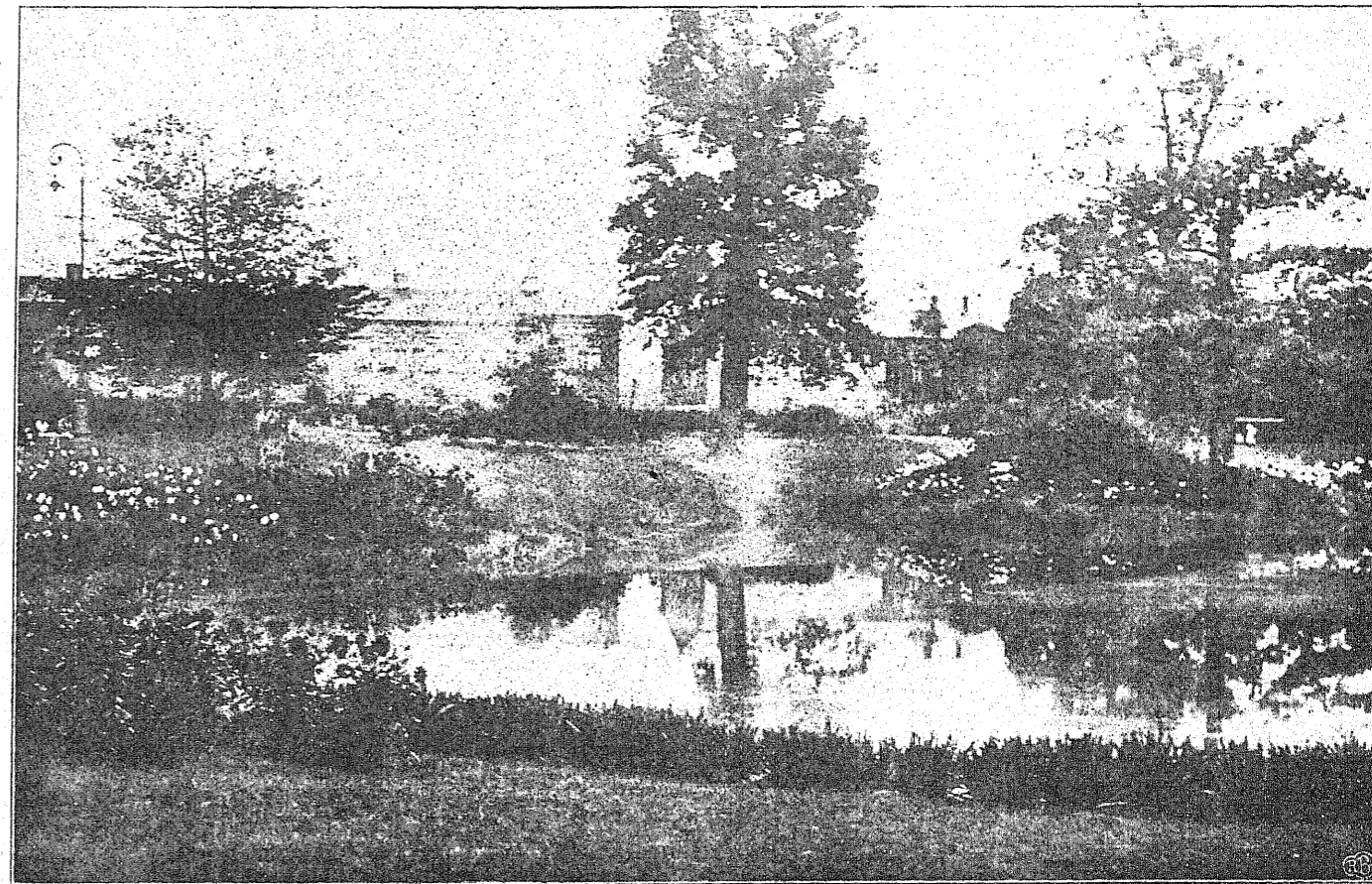
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

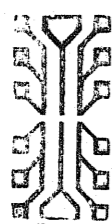
Niedziela, 15-go lipca 1928 roku.

№ 29.

Lato w parkach łódzkich.



Nieliczne w Łodzi parki, będące jedynym miejscem wypoczynku dla mieszkańców pochodzących ze sfer niezamożnych, przybrane w szkarłatne szaty lata, zachwycają swym urokiem i czarują prostotą; mimo, iż wokół nich piętrzą się olbrzymie gmachy, wystrzelają w przestworza ponure i stale dymiące kominy fabryk — kamienne pomniki postępu. Do tych najwięcej jeszcze posiadających prostoty parków należy widziany powyżej fragment parku „Źródliśka”, najstarszego ze wszystkich ogrodów Łodzi.



Łączyńska-Szymanowska.

„Portret p. K.“